

Piotr Droźniakiewicz

## Historię tworzą losy zwykłych ludzi

Urodziłem się w 1947 roku w Bydgoszczy w czasach PRL, w okresie zbrodniczego eliminowania demokratycznej opozycji przez stalinowskich inspiratorów i ich nadzwyczaj licznych polskich pomagierów. Bierna postawa większości zastraszonego społeczeństwa, otoczonego „bratnim” wojskiem radzieckim po latach okupacji niemieckiej, umożliwiła tuż przed moim urodzeniem skuteczne sfałszowanie referendum pn. „3xTak”. Pozwoliło to na zalegalizowanie „państwa ludowego” na wzór sowiecki przy obojętnej postawie zachodnich państw alianckich, zajętych własnymi interesami. Ów egoizm dziwi tym bardziej, że Polacy, jako znacząca armia sprzymierzonych (czwarta, siódma, czy ósma co do liczebności według różnych szacunków) wniosła istotny wkład w wyzwolenie [Europę](#). Powinno być to zapamiętane szczególnie Wielkiej Brytanii, jak i Francji, której udział w II wojnie światowej był symboliczny i ambiwalentny po złożeniu broni w 1940 roku, nie wspominając o Słowacji, Rumunii, Bułgarii, Węgrzech, które „solidarnie” podzieliły los Polski w powojennej Europie, jako swojego rodzaju kontrybucja dana Sowietom przez Zachód awansem w [Teheranie i Jałcie](#) za ich udział i wkład w pokonanie III Rzeszy.

O tym i o innych zdarzeniach dowiedziałem się znacznie później sam, w szczegółach. Historia szkolna napisana była bowiem nieciekawie i fałszywie. Moi rodzice – z kolei – nie chcieli mówić prawdy, aby nie narażać siebie moim gadulstwem i czynami od czasu, kiedy to jako paroletni brzdąc niepostrzeżenie ubrałem się w polski mundur aliancki przywieziony z Londynu przez stryja, by paradować w nim po ulicy. A potem tak już zostało...

Urodziłem się z ojca Kazimierza (1920–1969), dziennikarza w prasie lokalnej, a na koniec życia działacza katolickiego, który umarł młodo. Sądzę, że to permanentna inwigilacja przez tajne służby przyczyniła się do jego choroby i rychłej śmierci. Od tego czasu pozostała we mnie niechęć do wszelkich organizacji politycznych.

Nawet i dziś, a może szczególnie, partie przypominają mi średniowieczne drużyny karnych wojów pod wodzą „księciunia”, teraz z wyboru, a nie z namaszczenia, bezwzględnie walczące między sobą na słowa i czyny o

pierwszeństwo do łupów z budżetu Państwa – z naszego pozwolenia danego przy urnach. Zawsze z użyciem populistycznych haseł, zawsze według aktualnych potrzeb PR, i zawsze w obronie tzw. „sprawiedliwości społecznej”. A główne problemy, jak: opieka zdrowotna, spójne i czytelne prawo, drogi i tak nie są rozwiązywane i w konsekwencji zostawiane następcom u władzy.

Ojcem mego ojca był Józef (1897–1967), rzemieślnik, czołowy racjonalizator w zakładach MAKRUM w Bydgoszczy, syn Michała (1863–1933), syn Łukasza (1831–?). Dalej niż do prapradziadka jeszcze nie dotarłem, choć wiem, że pochodził z [Wielkiego Księstwa Poznańskiego](#) z miasteczka Borek Wielkopolski w powiecie koźmińskim. Wiem także, że stamtąd ruszyła wielka emigracja moich krewnych do Stanów Zjednoczonych. Wielu z nich, jak na przykład [Frank Droźniakiewicz](#) (1848–1928), który przybył do Nowego Jorku z Bremy 17 czerwca 1873 roku na statku „Smidt”, jako pierwszy z rodu, jeszcze w 1920 było bardzo przywiązanych do swych „poznańskich” korzeni i słowami „Polish” i „Posen”, nawet nie „Poland” określali nację i miejsca urodzenia: swoje i rodziców, jak na arkuszu 14. spisu powszechnego w USA w Milwaukee, poz.16 (kopia spisu dostępna jedynie z poziomu mapy strony, niestety). Jeszcze dziś znajomi Poznaniacy mówią mi w żartach, że Polska kończy się na Warcie?!

Z pochodzenia jestem Polakiem, choć nie do końca jestem przekonany, czy w moich żyłach nie płynie również krew osmańska, żydowska, czy jakaś inna. Opowieść rodzinna głosi bowiem, że wywodzimy się z [Besarabii](#)...

Droźniakiewicz, a takie to nazwisko otrzymał mój syn Adam w 1970 roku od urzędników w Poznaniu, było dla mnie zaskoczeniem. Zawsze zdawało mi się, że nazywam się Drożniakiewicz. Po jego niespodziewanym odejściu w 1992 roku powinno mi być wszystko jedno – moja gałąź męska zamarła. Ciekawość zwyciężyła, a genealogia potwierdziła urzędniczy błąd, który stał się udziałem wielu moich krewnych: Droźniakiewiczów, Drożniakiewiczów, Druźniakiewiczów, a nawet Droznakiewiczów od czasu [zaborów](#) i niewoli (1795–1918). Metrykalne felery z powodu polskich znaków diakrytycznych trwają do dziś. Czy to ma dla nich jakiegokolwiek znaczenie? Osobiście wątpię. Jakkolwiek nazwisko unikatowe to ród raczej pospolity, jak mi się zdaje przed kolejnymi peregrynacjami.

Ze szkoły podstawowej nr 29 w latach 1954–1961 zapamiętałem wielu kompetentnych nauczycieli, którzy na wszelki wypadek skrzętnie ukrywali swoją pracę w przedwojennych liceach, o czym dowiedziałem się od kolegów szkolnych po wielu latach. Zapamiętałem też okolicznościową lekcję z okazji lotu Gagarina w kosmos, towarzyskie uczestnictwo w treningach kadry bokserów w wielgachnych rękawicach na małych piąstkach pod kierunkiem [Feliksa Stamma](#), przyjaciela rodziny, pierwsze publiczne występy przy fortepianie na akademiach szkolnych... i codzienną niemal grę w piłkę nożną zimą i latem na placyku pobliskiego przedszkola i niedalekich polanach nad Brdą, przeplatana długimi wycieczkami na rowerze w towarzystwie kolegów. Wspominam też spływy Brdą i Czarną Hańczą w wakacje z rodzicami i na koloniach, jak również inscenizację bitwy pod Grunwaldem w jej 550–letnią rocznicę w reżyserii Gabriela Nehrebeckiego, znanego aktora, gdzie odgrywałem rolę Wielkiego Księcia Witolda w podwarszawskich lasach.

Potem był niezły ogólniak, [I LO w Bydgoszczy](#) w latach 1961–1965. Z perspektywy lat oceniam, że wiele z tego, czego tam mnie nauczono zostało do dziś. Studia wszelkiego rodzaju dostarczyły bowiem wiedzy specjalistycznej, natomiast jej spoiwo intelektualne pochodzi jeszcze z liceum. Były to niezapomniane cztery lata treningów, obozów sportowych i zawodów lekkoatletycznych w klubie Zawisza, występów przy bębnach i klawiszach w różnych kapelach i na akademiach szkolnych, wakacyjnych wyjazdów w grupie pysznych przyjaciół, lata nieprzerwanego powodzenia towarzyskiego. Wspominaliśmy wspólnie te chwile w uszczuplonym przez czas gronie koleżanek i kolegów przy okazji uroczystości 130–lecia powstania liceum w 2007 roku i potem na paru spotkaniach. Nasza „IIVa” okazała się być z perspektywy klasą wyjątkową, gdzie wszyscy ukończyli studia wyższe, stając się lekarzami, inżynierami, aktorami, naukowcami i przedsiębiorcami z najwyższej ligi krajowej. Szkoda, że nie doczekali spotkań po latach: Beata Bajl, Iwona Żelaźnicka, aktorka bydgoska i Andrzej Zawadzki, wspaniałe mój druh w sporcie, zabawie i pracy...

W 1965 roku rozpocząłem studia na zootechnice w Poznaniu. Wspaniałe miasto, choć towarzysko impregnowane na ludzi z zewnątrz, tym bardziej z akademika, gdzie kultem pozostawała studencka spółdzielnia pracy. Dla jednych sposób na życie, dla większości na przeżycie. Dla mnie osobiście była to pierwsza szkoła kapitalizmu. Przed koniecznością zarabiania chronił

mnie dom i dostarczał środków na utrzymanie w wystarczającej ilości. Powinienem być za nie ukończyć również prawo, na które zapisałem się w 1966. Nie udało się jednak pogodzić wszystkich aktywności: wciągającej pracy, muzykowania i studiów. A nowa rodzina i pierworodny syn wymagali zupełnie innego zaangażowania. Studia ukończyłem później w Szczecinie.

Człowiekiem, który wywarł na mnie największy wpływ na studiach w Poznaniu był [prof. Jan Sokołowski](#), znakomity ornitolog i genialny rysownik zwierząt. Na zajęciach odwracał się tyłem do słuchaczy i zapatrzony w okno naśladował wiernie głosy różnych ptaków. Na jego wykłady przychodziły tłumy kolegów z innych wydziałów z samej tylko chęci posłuchania pasjonujących opowieści o otaczającej nas przyrodzie.

Do dziś z namaszczeniem przechowuję zeszyt do ćwiczeń z zoologii, gdzie osiągnąłem szczyt perfekcji w rysowaniu zwierząt, aby tylko mu dogodzić. Z perspektywy oceniam, że to profesorowi zawdzięczam głównie wiedzę o zwierzętach nieudomowionych i poznanie filozofii przyrody, co ułatwiło mi później prowadzenie ogrodu zoologicznego.

Z czasów studiów utkwiała mi w pamięci też krótka przygoda z wojskiem. Na nieodległym od akademika „Monte Bonino”, bo tak nazywaliśmy studium wojskowe na Golęcinie, ubrano nas w długie szynele, chyba jeszcze z czasów wojny i w buty podbite ćwiekami, a później w każdy bodaj poniedziałek uczono dyscypliny. Służyłem w piechocie, zatem czołgania po bonińskich nieużytkach nie brakowało. A i ostre strzelania trafiły się parę razy w semestrze. Wtedy byłem człowiekiem bardzo sprawnym fizycznie, toteż udział w przedmiocie „Wojsko” na świeżym powietrzu przyjmowałem na sportowo. Naszymi towarzyszami „w armii” byli koledzy z poznańskich uczelni artystycznych. Ich dowcipy na zajęciach politycznych, taktycznych, czy jakichś tam innych mocno urozmaicały nieciekawe wykłady zasłużonych oficerów LWP, wprawiając ich w humorystyczne zakłopotanie. Po półrocznej nieobecności, kiedy odbywaliśmy praktykę rolniczą w uczelnianych pegeerach, studium zmieniło profil i postanowiło zrobić z nas artylerzystów. Spojrzałem podejrzliwie na stojące armaty na placu i kolegów czyszczących wyciorami długie lufy dział, a szczególnie na tablice wykresów różnych „kątów latania” wszystkiego do obsługi tego sprzętu. A już perspektywa spędzenia obozu wojskowego w huku wystrzałów wydała mi się zabójczą dla moich uszu. Toteż po półrocznych, „usilnych”, acz ryzykownych, staraniach zostałem zdemilitaryzowany przez komisję lekarską na zawsze. Nie wszystkim się to udało. Słyszałem potem, że wielu muzyków doznało

licznych urazów słuchu po zaliczonym obozie wojskowym, co utrudniło im późniejszą karierę zawodową. I komu było to potrzebne? Na pamiątkę została mi książeczka z wpisem: „kanonier”!

Wylądowałem na stażu w podbydgoskim pegeerze. Pierwsze wynagrodzenie pracownicze było dla mnie szokiem co do szczupłości w porównaniu z dochodami zaradnego studenta, ale należało się przyzwyczajać do takiego poziomu zarobków „inteligencji pracującej”. Także pierwsza praca dostarczyła niezapomnianych wrażeń: nigdy później nie widziałem tylu szczurów w jednym miejscu. Były ich tysiące. Strach było przebywać samemu w budynku inwentarskim. Aż dziw, że nigdy nie przyśniło mi się to miejsce. Taki był mniej więcej średni poziom uspołecznionej gospodarki rolnej. Średni nie znaczy, że należało to zniszczyć począwszy od 1989 roku w ramach rodzącego się kapitalizmu i zostawić na pastwę losu rzeszy ludzi, którzy nie nadawali się do niczego innego.

Po kilkunastu miesiącach, w 1972 roku, przeniósłem się w koszalińskie do innego PGR-u, tym razem pod zarządem ministerstwa sprawiedliwości. Zaoferowano nam znacznie lepsze warunki bytowania. Były tam duże stada krów i konie, lasy i woda, niezamieszkałe przestrzenie i... daleko do komunikacji zbiorowej, co ja, mieszcuch, przyjąłem za atrakcję.

Codziennie, wielogodzinne marsze na grzbiecie konia w kulbace pośród wzgórz, lasów i łąk, w deszcz i śnieg, skwar i chłód, o wschodzie i zachodzie słońca dla nadzoru nad rozrzuconymi folwarkami, do dziś wspominam, jak wspinałam i niepowtarzalną męską przygodę. Jakkolwiek brzmi to romantycznie, dramatycznych wrażeń nie brakowało. Kiedy, na przykład, nie wypięto się puśliko przy zrzutce, a stopa w bucie na grubych protektorach długo nie chciała się wysunąć ze strzemienia. Koń ciągnął mnie bezradnego po ziemi prawie kilometr?! Nie chcę myśleć, co zostałyby z mojej głowy, gdyby się spłoszył i pognął galopem. Natychmiast, następnego dnia zamówiłem w Poznaniu prawdziwe buty do konnej jazdy ze śliską, skórzaną podeszwą.

Szybko zorientowano się, że lepiej poradzę sobie z organizacją ministerialnego ośrodka wypoczynkowego w dobie permanentnych braków wszystkiego i stajnią koni spacerowych, gdzie zastałem również pięknookie małopolskie po arabach, niżli ze zwykłą robotą pegeerowską. Latem do ośrodka, który powstał nadszpiewanie szybko, przybywali nietuzinkowi

ludzie, głównie z Warszawy. Jeden z nich obiecał pomóc w wyjeździe na praktykę rolniczą do USA, co natychmiast stało się moim głównym celem na przyszłość. Na to trzeba było mieć jednak zgodę pracodawcy i dostać urlop bezpłatny. A była to istotna przeszkoda tam, gdzie byłem.

W 1975 roku znalazłem się w kółkach rolniczych w Bydgoszczy. Śmieszna praca za biurkiem, sporządzanie broszur na zadane tematy, czasem udział w wyjazdach do chłopów dla bezskutecznego przekonywania ich do socjalistycznych metod gospodarowania.

Dysponowałem niezłym angielskim i bez trudu zakwalifikowałem się na praktykę, organizowaną przez SITR. Dostałem też szybko zgodę na wyjazd... i zaraz pojawili się esbecy. Nie w głowie była mi taka współpraca, ale pokazali swoje „możliwości”. Zostałem w kraju!

Drugie podejście także okazało się być nieudanym. Mój plan przechytrzenia SB nie udał się również z powodu Amerykanów, którzy opóźnili wyjazd o kilkanaście dni, kiedy czekałem na wylot w budynku NOT w Warszawie. Długo by o tym opowiadać... Znów pojechali inni, mnie wywalono z roboty i odebrano paszport na wiele lat. Dobrze, że nie zrobiono ze mnie wroga PRL i nie zamknięto za wprowadzenie w błąd „władzy ludowej”... Mogli? Mogli wiele, czytamy o tym obficie. Teraz IPN traktuje mnie, jak byłego współpracownika peerelowskiej bezpieki, odmawiając dostępu do akt. Mam za swoje, nie należało się wtedy „wychylać” i nie sprzeciwiać się zasadom istniejącym w PRL na własną rękę!

Dziś śmieją mnie opowiadania różnych prominentnych ludzi, jakoby nigdy nie spotkali się z obowiązkiem współpracy z tajnymi służbami przy wyjazdach szkoleniowych za granicę. Dla ówczesnego MSW były to nieocenione wiadomości, bo darmowe i z wielu niezależnych źródeł.

Jakiś czas utrzymywałem się z gry na fortepianie w różnych kapelach w knajpach, na weselach i bardzo poważnie rozważałem wyjazd na norweski statek w charakterze bar-pianisty, ale przecież znów powstałby problem z paszportem...

Pracy w komunie było dużo, szczególnie na obrzeżach gospodarki i polityki. Dobry znajomy z lat młodości, którzy poznał moje problemy, zarekomendował mnie do pracy przy tworzeniu [bydgoskiego Zoo](#) w lasku

myślęńskim koło Bydgoszczy, gdzie w 1977 roku potrzebowano sprawnego organizatora.

Dziś każde liczące się miasto musi mieć port lotniczy, najlepiej międzynarodowy. Wtedy społecznym wyznacznikiem podobnej atrakcyjności było istnienie Zoo. Udało się je uruchomić już po dwóch latach, dzięki mądrze wybranym celom tzw. „czynów społecznych”, które gdzie indziej często przeradzały się w smutną, socjalistyczną farsę marnowania społecznych sił i środków dla propagandy jedności narodu „na rzecz”...

W kilka miesięcy po otwarciu ogrodu zoologicznego przeżyłem powstanie „Solidarności”, bardziej ruchu społecznego, niż związku zawodowego, którego stałem się członkiem. Fale strajków z 1979 roku stały się w dużych zakładach przemysłowych istotnym narzędziem nacisku na władze komunistyczne. I z tym się zgadzałem. Jednak dla wyrażenia poparcia strajkować zaczęli niemal wszyscy, czy było to przydatne politycznie, czy nie. Wtedy wydawało się to obowiązkową demonstracją patriotyzmu, nawet za cenę dezorganizacji codziennego życia zwykłych obywateli.

Władze i „Solidarność”, niezależnie od siebie, prowadziły codzienny monitoring: kto, gdzie i ile osób personalnie nie podejmuje pracy. W ogrodzie stosowany był rozliczeniowy system pracy pracowników, zatem miałem ułatwione zadanie: każdy z pytających otrzymywał satysfakcjonującą odpowiedź. Bowiem zwierzęta musiały być obsłużone, teren sprzątnięty, a Zoo udostępnione publiczności. Taka postawa przysporzyła mi wrogów po obu stronach barykady i stała się w następstwie powodem licznych retorsji. Stała za mną jednak większość pracowników.

Dopiero na dwudziestopięciolecie istnienia [Ogrodu Fauny Polskiej](#) w 2003 roku, już w demokratycznej Polsce, doczekałem się wymiernego uznania ze strony władz miasta, acz dla mnie zupełnie nieoczekiwanego – jako najlepszego kierownika placówki w historii. Uhonorowano mnie przy tym „Medalem Prezydenta Miasta Bydgoszczy” za szczególne zasługi dla Miasta Bydgoszczy, jak napisano.

A była to rzeczywiście wymagająca, pionierska robota, przy której o mało co nie straciłbym życia za kierownicą, goniąc za sprawami ogrodu. Osierociłbym wtedy córkę Annę, która właśnie co, w 1980 roku pojawiła się na świecie...

[Stan wojenny](#) i późniejsze parę lat beznadziei były czasem zmarnowanym gospodarczo dla Polski, czasem niewiary społeczeństwa i mojej w lepsze jutro, rozglądających się za jaką bądź dodatkową pracą „dla chleba”, a często

za emigracją w atmosferze 100% inflacji w 1982, aż do 1260% (!) w 1989 roku. Sam przeżyłem epizod bycia taksówkarzem na bagażówce w czasie urlopu „tacierzyńskiego” z racji urodzin córki, co pozwoliło wydatnie zwiększyć budżet domowy.

Lata stanu wojennego stały się jednakże nieszczęsnym i dobitnym podsumowaniem fiaska systemu. Systemu zaprowadzonego pod przymusem przez wrogów II Rzeczypospolitej spod symbolicznej daty [17 września 1939 roku](#) i utrzymywanego od ukończenia wojny przez namaszcanych przez nich rodzimych uzurpatorów i tysięcy ich klakierów. Nie byli oni nawet zdolni mentalnie i intelektualnie do wprowadzenia jakichkolwiek skutecznych reform rynkowych dla utrzymania własnej władzy – co z powodzeniem zrobili komuniści w Jugosławii i na Węgrzech – inaczej, niż siłą.

Szczęściem dla Polski, że pojawił się w ZSRR [naiwny idealista](#), który swoimi czynami wprowadził w osłupienie nawet zachodnich Europejczyków, nienawykłych do kłopotów i jakichkolwiek zmian, jak w [1938 roku](#).

Tym razem rodacy nie zaprzepaścili szansy na prawdziwą [wolność](#), również dzięki wieloletniemu uporowi rzeszy dzielnych śmiałków z „Solidarności”, KOR-u i innych organizacji podziemnych, jakkolwiek mających moralne poparcie większości społeczeństwa, to bardzo ryzykujących na własny rachunek bytem, zdrowiem i życiem, szczególnie na prowincji.

Niezwykły wpływ na Polaków, jak również na rozwój wydarzeń na świecie, wywarł krakowski kardynał Karol Wojtyła, wybrany na papieża w 1978 roku [Jan Paweł II](#). Jego nieoczekiwane pojawienie się w elicie polityki światowej zwróciło uwagę wolnych mediów na polskie problemy i ośmieliło opozycję do bardziej zdecydowanych działań w kraju, począwszy od 1979 roku, po jego pierwszej wizycie w Warszawie.

Psychiczna obecność Jana Pawła II w duszach Polaków, jego późniejsze pielgrzymki do kraju i nauki przepięknie patriotyzmem, przyczyniły się z pewnością do koncyliacyjnego przejścia władzy od komunistów w 1989 roku. Osobiście ceniłem „polskiego” papieża za jego wyjątkowy wprost intelekt, umiejętność panowania nad tłumem i niezłomność, z jaką realizował swoją posługę pomimo ciężkiej choroby.

Dzięki jego niewątpliwemu wpływowi na upadek komunizmu, Polska i Polacy znów zaistnieli pozytywnie w świadomości cywilizowanego świata. Przedtem miało to miejsce jedynie w 1920 roku po zwycięstwie nad Rosją Radziecką i



wiktorii wiedeńskiej w 1683 roku nad Turkami pod dowództwem króla Jana III Sobieskiego.

Dziś jeszcze nie do wszystkich dociera fakt, jaki dar od Boga otrzymaliśmy w osobie Karola Wojtyły na czasy przełomu!

Rok 1989 wlał realną nadzieję w serca wielu Polaków, choć skorzystali głównie ci, którzy zawczasu wiedzieli co się święci, przygotowali się i byli gotowi gospodarczo do nadchodzących zmian, do kapitalizmu. A więc rzesza tajniaków, ich współpracownicy, działacze partyjni i ich rodziny, a także Polacy od dawna przebywający na Zachodzie, tworzący już wcześniej tzw. „firmy polonijne”. Większość społeczeństwa została zaskoczona wolnością gospodarczą. Ja też. [Czy była to cena za oddanie władzy?](#)

Jednak każdy, który w tamtym czasie wykazał się aktywnością mógł zarobić. Takie były niedostatki.

Na marginesie: nigdzie nie znalazłem opracowania, w którym autor pokusiłby się na wykonanie symulacji w zakresie oceny, jaki byłby stan gospodarczy Polski w 1989 roku, wolnej od wpływów sowieckich w minionym czterdziestopięcioletniu, z wykorzystaniem planu [Marshalla](#), z którego kazano nam zrezygnować. Mogłoby to dać odpowiedź, na ile nas skrzywdzono materialnie i jaką pozycję w Europie zajmowałaby Polska wtedy. To żadna pociecha, ale wewnątrznie choć nie musielibyśmy czuć się „ubogimi krewnymi” w żadnym z państw Zachodnich.

Moim udziałem stał się skład celny, gdzie handlowałem maszynami i elektronarzędziami z Niemiec, drewnem z Ukrainy, spirytusem z Jugosławii. Nieoczekiwany i niesprawiedliwy prawnie domiar za tenże zjadł większość dochodów, a skład celny zamknięto, bo okazał się być za małym w świetle huraganowo zmieniających się przepisów.

Z perspektywy czasu i posiadanej wiedzy oceniam, że wtedy zapłaciłem pierwsze „frycowe”, i od razu duże! Niestety, nieznajomość prawa szkodzi w każdym momencie życia, ale dla przeciętnego przedsiębiorcy samodzielne poznanie obowiązującego prawa gospodarczego zdecydowanie wydaje się być zadaniem ponad siły. Stąd wielu z nas wpada od czasu do czasu w zgrabnie zastawione sidła fiskusa, ZUS i innych instytucji państwowych, wspieranych orzeczeniami sądów instancji najwyższych, interpretujących bełkotliwe prawo najczęściej na niekorzyść podatnika, tu działające wstecz.

Zostało mi jedynie malutkie biuro z telefonem po paru latach pracy, jak również kontakty, głównie bezpośrednie, bardzo istotny czynnik w biznesie. Poznać pana po kontaktach, chciałoby się tu sparafrazować znane powiedzenie o cholewach. Istnieje znacząca grupa ludzi, którzy rozprzestrzeniają osobiste kontakty, absolutnie nie ponosząc za nie odpowiedzialności. Czynią to celowo dla dezinformacji lub z pychy, bądź równie uprzejmie, acz z głupoty własnej dalej rozsiewają wirusa niekompetencji, bądź niemocy cudzej.

Wielu z nas spotkało ludzi, chełpiących się wysoko postawionymi przyjaciółmi, którzy mogą „pomóc” w każdej chwili. Po zwróceniu się do tych „przyjaciół” dowiadaliśmy się – najczęściej od ich sekretarek, że albo nie kojarzą protegującego, albo nie dysponują czasem. Sam miałem znajomego, który posiadał kontakty z bogatego zbioru wizytówek z całego okresu transformacji, niemal na każdą okoliczność. I zawsze śpieszył ze szczerą pomocą pytając potem, czy się przydały?! Nie przydały się, ale z grzeczności odpowiadałem wymijająco, bo albo ludzie zmienili branżę, albo przeszli na emeryturę, albo to ja bardziej nadawałbym się im do pomocy! Nauczyłem się tedy od lat liczyć wyłącznie na siebie.

Co by jednak nie powiedzieć, stałem się przedsiębiorcą, tzw. „kupcem rejestrowym”, według określenia kodeksu handlowego z 1934 roku, w handlu zagranicznym, który był dla mnie całkowitą nowością. Pobrałem kilka ciekawych szkoleń, które organizowała Polska Izba Handlu Zagranicznego, co znacznie przybliżyło mi tę sferę działalności.

Praca wymagała stałych wyjazdów do Berlina Zachodniego po zaopatrzenie. Spodobały mi się kosmopolityczne klimaty tego miasta, jakże inne od wielu miast niemieckich, odwiedzanych później. Zaglądałem do Danii, do Esbjerg na wybrzeżu Morza Północnego, gdzie długo zachęcano mnie do wzięcia kredytu dla siebie i innych na niezwykle korzystnych warunkach. Po głębszym zbadaniu sprawy okazało się, że proponujący okazali się być zręcznymi oszustami. Zajeżdżałem do Kalingradu przez Mamonowo, gdzie należało uzyskać najpierw zgodę na przejazd tym przejściem granicznym w Olsztynie. Dobrze poznałem Budapeszt, gdzie stworzyliśmy bazę do obsługi importu z Jugosławii, skąd najszybciej było, mijając Balaton, do Zagrzebia. Jakiś czas spędziłem w Nikołajewie nad Morzem Czarnym, bo tam pojawili się otwarci partnerzy biznesowi.

Niektóre związki z tamtych lat przetrwały do dziś, co jest wartością samą w sobie.

Były to czasy szukania legalnych szans gospodarczych niemal wszędzie. Stały się one przedmiotem działań wielu Polaków po latach przemytu leków, kryształów, odzieży, złota i właściwie wszystkiego, co dało się sprzedać, a następnie kupić w zmian i znów zbyć w wielu krajach na „szlaku handlowym”, z góry zaproponowanym przez organizatorów licznych wycieczek socjalistycznych biur podróży tak, aby do Polski najlepiej przywieźć zarobek w dolarach. Bo dolar w latach osiemdziesiątych miał niewiarygodnie dużą wartość nabywczą, jako jedyna „prawdziwa waluta” obok marek niemieckich w kraju obłąkańczej inflacji.

Zawód. Wybieraliśmy go na całe życie, idąc na określone studia. Mój ojciec, zapalony wędkarz marzył, że na starość przyjedzie do syna na wieś i zamoczy kij w pobliskim jeziorze. On nie zdążył, ja wróciłem do miasta, a i czasy się zmieniły. Zootechnicy stracili na znaczeniu. Przejmowali byłe pegeery, bądź zmieniali zawody. Dla nowych „obszarników” stali się bowiem zbędni. Dziś gospodarstwo paruset hektarowe obsługuje do 10 ludzi, łącznie z właścicielem, a zootechnika, czy agronoma w produkcji zastąpił konsultant z lokalnej uczelni rolniczej.

Podobny los spotkał większość zawodów uniwersyteckich i ekonomicznych, za wyjątkiem nauczycieli, o ile ich posiadacze nie zdobyli się zawczasu na uzyskanie specjalizacji przydatnej na rynku. Ostali się absolwenci politechnik, a lekarze i prawnicy weszli w okres prosperity, bo są specjalistami, mającymi bezpośredni wpływ na nasze zdrowie i życie.

I tak już zostanie. Dla większości z nas, niezależnie od profesji wyuczonej na początku, niezbędna stanie się ewolucja zawodowa, czyli dalsza edukacja. Będzie ona pozostawać w ścisłym związku z aktualnie wykonywaną pracą, czy prowadzoną działalnością, ale niekoniecznie z wyborami sprzed lat i będzie dotyczyć nauki jedynie tych czynności i działań, których skomputeryzować się nie da. Weszliśmy bowiem w czasy dominacji twórczego intelektu, specjalistycznych usług i szybkiego przepływu informacji. Ta sytuacja powoduje, że nieuchronnie każdy z nas stanie przed szansą bycia częścią globalnego rynku na świecie. Pozostaje pytanie, jak to wykorzysta?

W środowisku Polskiej Izby Handlu Zagranicznego zrodził się pomysł reaktywacji [Izby Przemysłowo-Handlowej w Bydgoszczy](#) po jej likwidacji w 1950 roku. I tak, nieoczekiwanie dla siebie, w 1989 zostałem jej współzałożycielem. A że człowiek jest istotą społeczną, uczestniczyłem również i w Gildii Bydgoskiej i w Klubie Prywatnego Przedsiębiorcy, przy czym ostatnie, dwie organizacje już nie istnieją.

Zawsze siebie pytałem potem, czy zasiadanie w takich gremiach ma sens? Chyba jedynie towarzyski – oprócz może izby, która wszędzie w świecie cywilizowanym cieszy się poważaniem. Bowiem przedsiębiorca jest osobą zazwyczaj samotną, któremu nikt nie pomoże bezinteresownie. Samotną, ze swoją walką o zapłatę od innych, ze swoją troską o materię „żywą” i zmechanizowaną w zakresie jakości i ilości produktów dla utrzymania się na rynku. Samotną również i w rodzinie, bo najczęściej w rozjazdach, bo grzeszącą brakiem spokoju na posiedzenie w domu po pracy, jak „wszyscy” i brakiem czasu na normalny urlop, jak „większość”. Samotnikiem kalkulującym na co wydać w firmie najpierw, a może wdać się w alians z innymi? I wszystko tylko po to, aby „uciekać do przodu”. Przeżyłem to sam, słyszałem od innych i pewnie dalej nic się nie zmieniło!

W 1994 roku – wobec powszechnie istniejących zatorów płatniczych – zaproponowano mi udział w windykacji należności na wzór czeski, który zaadoptowałem do polskich warunków po kilku wizytach na uniwersytecie w Ostrawie. Taki system kompensaty w łańcuchu zdarzeń, gdzie nieoczekiwanie w jednym miejscu spotykał się dług z należnością tej samej osoby. Nigdy później nie spotkałem bardziej łagodnej i skutecznej formy dokonywania rozliczeń zaległości finansowych i nie doznałem podobnej intelektualnej frajdy, z jaką zetknęliśmy się w Toruniu, zajmując się szaradami z dziedziny prawa i finansów.

Wtedy praca wymagała ode mnie szczególnie dużych nakładów czasu na opracowanie procedur dla zespołu współpracowników, na wyjazdy „w Polskę”, jak również na samokształcenie. Nasi klienci, często dramatycznie bezradni w obliczu powstałych zobowiązań z winy innych i niefrasobliwości własnej, pilnie oczekiwali pomocy specjalistycznej za każdą cenę. Mogłem skonstatować wbrew obiegu opinii, że polscy przedsiębiorcy są generalnie uczciwi, a odsetek kombinatorów i naciągaczy nie przekraczał 10%.

Pozyskana wiedza i doświadczenia z tej pracy definitywnie ukształtowały mój cel na przyszłość – doradztwo gospodarcze.

W 1997 roku z innymi partnerami wynajęliśmy okazałe biuro i zaczęliśmy pomagać polskim firmom w ich kontaktach z Ukrainą, gdzie na serio zaczęła się rozwijać przedsiębiorczość i gdzie miałem wielu znajomych od wczesnych lat dziewięćdziesiątych. Zgromadziliśmy ponad pięćdziesięciu klientów. Interes kręcił się znakomicie. W Odessie powstała wzorcownia polskich wyrobów, a wielu z naszych klientów uzgodniło zasady współpracy z ich partnerami ukraińskimi. Organizowałem misje handlowe na Ukrainę i do Polski. Przymierzałem się nawet do zamieszkania w tym uroczym mieście nad Morzem Czarnym na dłużej, bo życie w ciągłych rozjazdach stawało się bardzo męczące.

Trwało to jednak do czasu, kiedy w sierpniu 1998 roku załamał się [rosyjski system bankowy](#), mający duży wpływ na gospodarczą przestrzeń postradziecką. Nasi polscy biznesmeni nie chcieli mieć już nic wspólnego ze Wschodem, Ukraińcy stracili na wartości pieniądza, a my zajęcie.

Wycieczki. Znajomi chętnie sięgają po albumy ze zdjęciami z wyjazdów w „obce kraje”, jak pojawiają się w ich domach. Różne barwy mórza i błękitów nieba, ciekawe odcienie zieleni roślin i najprzeróżniejsze budowle z całego świata, a na pierwszym planie uśmiechnięte buzie gospodarzy. To ich kronika z udanych i zasłużonych wakacji za wolnej Polski.

Moje fotografie rozproszył los, została ich garstka sprzed lat. Na zawsze pozostały jednak w pamięci obrazy i wrażenia z podróży po kamienistych i ponurych górach Tien-Szan nad granicą z Chinami, ze wspaniałych biesiad pod gołym niebem wśród egzotycznej roślinności Abchazji u podnóża ośnieżonych szczytów Kaukazu, szczególnie pięknie wyglądających w świetle zachodzącego słońca, smakowitych białych chlebów-placków w Kirgizji, spadających tuż po upieczeniu ze ścian pieca na ziemię, ale także z przygnębiająco ciemnych i brudnych przedmieść Moskwy, gdzie znalazłem się przypadkiem w późny, jesienny wieczór, z pobytu latem w lesie bez ptaków w NRD, wytrutych zapewne przez nadmiar chemii na okolicznych polach, stojących rzędem wzdłuż torów żołnierzy wschodnioniemieckiego Grenzschtzutu na granicy obu Berlinów, butnie w rozkroku, w mundurach i czapkach w fasonie niemal rodem z III Rzeszy, z psami, gdzie do kompletu brakowało jedynie pejców w dłoniach, ale też urzekających bogactwem zieleni domostw w Austrii, widoków zasobnych Niemców w Berlinie

Zachodnim, odpoczywających w zadbanych obejściach cichych dzielnic willowych.

To zostało u mnie w głowie z wyjazdów w czasach PRL, kiedy u nas królowała szarość i bylejakość. Wtedy powroty z Zachodu do domu powodowały dyskomfort psychiczny; ze Wschodu natomiast ulgę, że jeszcze gdzieś może być gorzej.

Obecnie Polska pięknieje, a istniejące różnice w estetyce miast sprzed lat, w porównaniu z Zachodem, powoli ulegają zatarciu. Możemy jeździć po świecie prawie wszędzie, gdzie chcemy i robić piękne fotoalbumy. Teraz to myśmy się stali przedmiotem zazdrości dla naszych wschodnich sąsiadów, dla których już samo zdobycie wizy Schengen stanowi nie lada kłopot.

Wraz z wyprzedają banków w kraju rodzimi przedsiębiorcy zaczęli odczuwać utrudniony dostęp do kredytów. Była to chyba celowa polityka Zachodu, aby najpierw przejąć najcenniejsze aktywa państwa aspirującego do Unii Europejskiej. Wobec Polaków wymagano wypełniania skomplikowanych aplikacji i udzielania obfitych zabezpieczeń. Znałem zasady tworzenia biznes planów prostych i feasibility study i teraz już sam pomagałem wielu firmom, głównie małym i średnim. Bowiem należało się czymś zająć po załamaniu się rynku Wschodniego w 1998 roku.

Z tamtych czasów do dziś używam programu mojego autorstwa, który udostępniłem innym, wykonanego z zestawu połączonych arkuszy kalkulacyjnych, który wymyśliłem „na przódce” do sporządzania tabel i wskaźników. Dostępne wtedy na rynku były drogie, nazbyt skomplikowane i rozwlekłe. Niby uniwersalne, a w praktyce dla dużych spółek akcyjnych, gdzie należało żmudnie „łowić” wzrokiem maleńkie cyfry danych w gęstocie zer na długich wydrukach komputerowych.

Z podobnymi wydrukami, perforowanymi po bokach, spotkałem się pierwszy raz na studiach, w późnych latach sześćdziesiątych, kiedy oprowadzono nas w nabożnym skupieniu po centrum obliczeniowym w Poznaniu. Pracowały tam wrocławskie „Odry”, pierwsze polskie komputery. A były to potężne, przeszklone szafy, gdzie kręciły się duże szpule taśm magnetycznych, postawione w klimatyzowanych pomieszczeniach.

Wtedy nie mogłem nawet sobie wyobrazić, że ich zminiaturyzowana forma o niewyobrażalnie zwielokrotnionej mocy, stanie się podstawowym narzędziem mojej pracy przy biurku, nawet w zadymionym pokoju, począwszy od wczesnych lat dziewięćdziesiątych. Ten wynalazek, tuż sprzed czasu mojego

urodzenia, obok internetu, uważam za największe dobro użyteczne w biznesie moich czasów.

W 1999 roku Polskę przyjęto do NATO. Po 10 latach wyszliśmy wreszcie z szarej strefy wpływów między Wschodem a Zachodem, mimo sprzeciwu Federacji Rosyjskiej, dla której „Ptica nie kurica, a Polska nie zagranica”, jak protekcjonalnie mawiają Rosjanie od ponad 200 lat. Dla mnie NATO oznacza jedynie przynależność kraju do świata Zachodu, uznającego wojskowe przywództwo USA. Ceną za to uznanie jest obietnica Stanów Zjednoczonych o przyścisłej pomocy każdemu członkowi w razie napaści siłami uczestników paktu. Na wszelki wypadek Amerykanie stacjonują również w Europie, głównie w Niemczech, co tylko powinno nas cieszyć. Dlatego dobrze, że jesteśmy w NATO, mobilizowani dodatkowo do podnoszenia sprawności bojowej, głównie na różnych misjach – mniej lub bardziej wojennych.

Moim zdaniem, lepiej jednak nie sprawdzać skuteczności tej organizacji w praktyce między Odrą a Bugiem, być przygotowanym do obrony własnego terytorium samodzielnie i zawsze pamiętać o tym, co się stało w 1939 roku, pomimo istnienia pięknie brzmiących umów z Wielką Brytanią i Francją o udzieleniu pomocy w razie wojny. Jednak pozostaje pytanie, czy zapewnienia aktualnych władz Rzeczypospolitej o naszej sprawności bojowej nie okażą się w chwili próby równie nieodpowiedzialne, jak słynny „guzik” Rydza Śmigłego przed wrześniem 1939 roku? Mam nadzieję, że nie dożyję tej chwili...

W tymże 1999 powierzono mi utworzenie siostrzanej spółki na Ukrainie dla dużej fabryki mebli, którą odwiedziłem przedtem parę razy, jako współautor ich programu restrukturyzacyjnego. Perspektywy wydawały się znakomite. Dostałem kontrakt na trzy lata z obietnicą kierowania przyszłym podmiotem. Solidnie przejechałem niemal całą Ukrainę za odpowiednim partnerem. Odwiedziłem kilkadziesiąt zakładów drzewnych, zaglądając nawet na Krym i wybrzeże Morza Azowskiego. Przy okazji, na jednym z jego półwyspów pokazano mi słynną daczę Chruszczowa. Stojące centralnie budynki otoczone były kilkuset hektarowym terenem gęsto porośniętym drzewami i chaszczami, pośród których żyły wolno różne zwierzęta leśne. Sam widziałem stada dzików, saren, jeleni, danieli, które nie bały się samochodu. Naganiano tedy te zwierzęta pod ambonę ówczesnemu władcy ZSRR, aby

mógł sobie postrzelać z towarzyszami bez zbędnego wysiłku w przerwach między obfitymi biesiadami, jak opowiedziano.

Spółkę przygotowałem, ale fabryka... upadła niebawem, z uwagi na nadmierne roszczenia płacowe pracowników, akcjonariuszy większościowych, skutecznie podburzonych przez niemieckich odbiorców wyrobów, zainteresowanych przejściem zakładu za bezcen.

Paradoksy. Myślę, że w podobne paradoksy obfituje nie tylko moje życie. W szkole, zarówno podstawowej, jak i średniej, jakby podświadomie nie cierpiałem rosyjskiego, prześlizgując się z klasy do klasy z oceną ledwie dostateczną. Dobrze, że nie zmuszano mnie do niemieckiego. Począwszy od 1989 roku zacząłem jeździć po Wschodzie za interesami. A tam nie dało się porozumiewać w języku polskim, bądź angielskim lub zawsze wozić ze sobą tłumacza. Z konieczności musiałem nauczyć się rosyjskiego od nowa.

Od dzieciństwa miałem lewe ręce do mechaniki. Na studiach najwięcej kłopotów sprawiło mi maszynoznawstwo, a w latach osiemdziesiątych własnoręcznie, z części „zdobywanych” oddzielnie, złożyłem dostawczego Żuka, bo taka powstała pilna potrzeba życiowa.

W liceum natomiast przydarzyła mi jedyna w życiu poprawka z przedmiotu szkolnego. Z biologii. Potem przez wiele lat skutecznie kierowałem ogrodem zoologicznym. Zatem w moim przypadku sprawdziło się powiedzenie, że „niezmierzone są wyroki boskie”, o czym często mówiłem swoim dzieciom...

Rok 2004. Polska wstąpiła do Unii Europejskiej. Głosowałem za tym z większością Polaków, bo dla naszego kraju nie było żadnej alternatywy. Głosowałem, aby rodzime władze zobowiązane były do stosowania norm cywilizowanych wobec społeczeństwa pod prężeniem sankcji i kar Komisji Europejskiej i innych organów europejskich. Kwestia uzyskania funduszy pomocowych wydawała mi się drugorzędna, acz ważna, jako rekompensata za lata „zapomnienia” do 1989 roku i drenażu polskiej gospodarki potem. Głosowałem wreszcie dlatego, aby polska młodzież mogła wyjeżdżać za granicę po naukę i do pracy bez uwłaczających uwarunkowań, których doznałem osobiście w przeszłości. Aby w przyszłości zostało zdjęte z Polski odium pariasa Europy, skutecznie utrwalane przez Sowietów w świecie przez czterdzieści pięć lat poprzez „dorabianie nam gęby” warcholów i nieudaczników, co chętnie zostało znów podchwyczone przez Niemców po latach, jako tzw. „Polnische Wirtschaft” na określenie niewyobrażalnej wręcz



niegospodarności. Aby to odium znikło, głównie za przyczyną zaradności i pracowitości Polaków, ciężko doświadczonych, ale i uodpornionych na przeciwności losu przez komunistyczny „eksperyment”.

Zajmowałem się wtedy sądową obsługą własnych należności, których nagromadziło się nadspodziewanie wiele z lat poprzednich. Studiowałem prawo handlowe w Toruniu i jednocześnie – w pojedynkę, bo tak ułożyło się moje życie osobiste – opiekowałem się beznadziejnie chorą matką. Matką, której zawdzięczam niezwykle dużo w swoim życiu. Ta opieka przybliżyła mi problematykę opieki państwa nad osobami niepełnosprawnymi, szczególnie tymi ciągle leżącymi, skazanymi właściwie na wegetację i powolną śmierć w hospicjach przy braku dyspozycyjnych bliskich. Czyżby polska rzeczywistość należała jedynie do młodych, sprawnych i zamożnych?

A może należałoby postawić pytanie inaczej: czy czasami nie jesteśmy obsługiwani przez urzędników, którzy nie znają problemów, bądź którym się po prostu nie chce? Powszechnie obserwujemy, że po każdym wyborach, także samorządowych, następują duże wymiany składów osobowych w różnych instytucjach państwowych. Przychodzą nowi ludzie, w tym na synekury, którzy najpierw muszą zapoznać się zasadami pracy i z obowiązującym prawem. To wymaga czasu, również dla nabrania obycia w problematyce. A jak już posiadają odpowiednie kwalifikacje – następują kolejne wybory. I tak: „Da capo al fine”, jak w terminologii muzycznej. Praca w budżetówce dla krewnych i znajomych zwycięzców to łup najprostszy, od ministerstwa po gminę. I tak nam rośnie armia dzielnych urzędników ze szkodą dla ludzi prawdziwie w potrzebie...

Sądowa walka o własne pieniądze – w zaciszu domowym z konieczności – stała się wspaniałym poligonem dla wykorzystania doświadczeń z lat przeszłych i nowo nabytej wiedzy z prawa gospodarczego. Wiedzy głównie o filozofii i stosowaniu prawa przed organami wymiaru sprawiedliwości.

Adwokat czy radca prawny kieruje się dbałością o własne interesy. To zrozumiałe, z tego żyje. Robi tylko to, czego sam klient odeń oczekuje i za co mu płaci. Najczęściej jednak ogranicza się do prostych rozwiązań, do reakcji na przyniesione pismo procesowe. Często nie informuje sam, na przykład, o palecie możliwości długotrwałej, choć ryzykownej, obrony interesu klienta, bo na tym nie zarobi. A polski kodeks postępowania

cywilnego jest kopalnią możliwości w zakresie opóźniania i komplikowania rozstrzygnięć dla pozwanych. Nie wszyscy bowiem chcą się poddać i ulec egzekucji komorniczej bez walki i od razu, szczególnie wtedy, kiedy powództwo oparte jest na wątpliwych dowodach, wymagających wnikliwej analizy i oceny, a sędzia gnuśny. [Gnuśny z natury lub premedytacji.](#)

Pocztą pantoflową rozeszło się, że stosuję wobec sądów nieszablonowe, acz obiecujące metody postępowania. I tak nieoczekiwanie dochowałem się kilku wiernych klientów. Dziś to zajęcie traktuję bardziej jako hobby, z ciekawością oczekując zawsze na rozstrzygnięcia w wielu sprawach z udziałem pism procesowych mojego autorstwa, jakże często skutecznych.

Przeciętny obywatel, który po raz pierwszy styka się z wymiarem sprawiedliwości, liczy na jego idealistyczny wręcz obiektywizm. Nie zna przy tym procedur, istniejącego orzecznictwa, a głównie rzeczywistości sądowej, gdzie oskarżają, bronią i rozstrzygają ludzie dokładnie na miarę jakości, także moralnej, naszego społeczeństwa: pracowici i leniwi, dobrzy i słabi w swoim zawodzie, podobni w tym do lekarzy w szpitalach i przychodniach.

Obie te sfery budżetowe wymagają naprawy od dawna, i to zdecydowanej, ale dotąd żaden rząd po 1989 roku nie oparł się skutecznie wpływowemu lobby prawników i medyków. I dalej toleruje się dużą, szarą strefę dochodów tychże, za co dopłacamy wszyscy, zmuszeni montować kasy fiskalne nawet na straganie.

Nie dziwny się zatem dyskretnej frustracji społeczeństwa, które najwyżej w połowie uczestniczy w każdych wyborach powszechnych, tak protestując na realny brak wpływu na ich wynik w istniejącym systemie wyborczym. A że wybieramy najczęściej między mniejszym złem to normalne, wszak społeczeństwo jest zbiorem jednostek i grup o różnych, nierzadko przeciwstawnych interesach, czy wybujałych oczekiwaniach, o czym często zapominamy w swoim subiektywizmie.

Często zastanawiam się nad II Rzeczypospolitą, nad fenomenem reaktywacji jej państwowości po 123 latach niewoli; scalenia trzech terytoriów różnych systemowo, językowo, a nawet i kulturowo z udziałem zwycięskich powstań i wygranej [wojny z bolszewikami w 1920 roku](#). Dochodzę do smutnego wniosku, że wtedy dokonano więcej, przynajmniej na polu gospodarki, niż w obecnym dwudziestoleciu wolności. Oczywiście w proporcji do realnych możliwości sprawczych i ogromu wyzwań.

Obawiam się, że mentalność mojego pokolenia homo sovieticus, żyjącego choć szczęśliwie w pokoju, czego nie doświadczyli nasi ojcowie i dziadowie, dziś pełnego nierozumnych roszczeń oraz nieskrywanej prywaty indywidualnej i zbiorowej, nieprędko ulegnie zmianie. A stało się to zaledwie po 45 latach – jedynie wpływów ZSRR na polskie społeczeństwo. A co mają powiedzieć Białorusini, Ukraińcy, Mołdawianie, a nawet Estończycy, Łotysze, Litwini i inne nacje, zaanektowani przez Rosję Radziecką znacznie wcześniej? Całkowity powrót Polski do cywilizacji śródziemnomorskiej może okazać się, niestety, procesem niezwykle długotrwałym, nawet pomimo członkostwa w Unii Europejskiej.

We wczesnych latach pięćdziesiątych przedmiotem mojego zainteresowania był obwód kaliningradzki, zatem Rosja, potem długie lata spędziłem na Ukrainie, a osobiste wydarzenia i wybory 2007 roku postawiły mnie przed koniecznością zajęcia się biznesem z Białorusią.

Od czasów wyjazdów na Wschód w tzw. „pojezdach drużby” w późnych latach siedemdziesiątych ten kraj wydawał mi się najbardziej cywilizowanym w porównaniu z innymi, odwiedzanymi na obszarze ZSRR: od Mińska do gór Tien-Szan w Kirgizji, od Moskwy do Kaukazu w Abchazji. Od tamtych lat dużo się zmieniło, a Białoruś, szczególnie zachodnia jej część, dalej imponuje kulturą mieszkańców i czystością obojętnej, a głównie ogromem szans inwestycyjnych w porównaniu z sąsiadami.

Rodzime media tak nam obrzydziły Białoruś z racji politycznych uwarunkowań, że jeszcze dziś niewielu decyduje się na podróż w tamte strony bez wyraźnej potrzeby. Wracają zdziwieni, z wrażeniami panującego porządku oraz skromności i wielkiej życzliwości Białorusinów.

Każdy z tych trzech krajów, pomimo że wywodzący się od dziesiątków lat w całości lub w części ze [Związku Sowieckiego](#) jest inny. Inne są narody w nim zamieszkujące, inne zwyczaje, inny sposób myślenia, inne cele polityczne rządzących. Wspólne jest jednak to, że wszyscy razem jesteśmy Słowianami. Doceniamy te związki, choć utrudnione poprzez istnienie barier wizowych, których nie ma od lat na wielkim obszarze Unii Europejskiej. Ten fakt nie pomaga w nawiązywaniu zwykłych i licznych kontaktów, ale ułatwia szybkie porozumienie jak już do nich dojdzie.

Dzięki nabytej wiedzy interdyscyplinarnej, posiadanym umiejętnościom, a także bogatemu doświadczeniu życiowemu dziś udaje mi się inspirować kontakty w celu łączenia ludzi i spraw w najróżniejszych sferach ludzkiej działalności, a ostatnio nawet samorządów między Polską i Białorusią.

Udaje mi się również pomagać ludziom i firmom w dramatycznych i skomplikowanych sytuacjach, kiedy zawodzą renomowani. Sam wiele razy wychodziłem z opresji obronną ręką, ale głównie wtedy, gdy sprawy brałem we własne ręce, niezadowolony ze specjalistów. Oczywiście wymagało to mobilizującej złości, szybkiego samokształcenia i wiary we własne możliwości. Dlatego dziś dobrze wiem, co czują ludzie bezradni, osamotnieni, zniechęceni i w położeniu niby bez wyjścia. Jednak póki żyjemy, wszystko jest możliwe.

To wielka satysfakcja móc pomagać innym i cieszyć się potem ich zadowoleniem... równie zwykłych ludzi, jak ja. I niech tak zostanie do końca. Wspólnie tworzymy historię ważną dla bliskich, miasta, czy kraju zamieszkania, choć jedynie nieliczni z nas trafią do podręczników szkolnych dla następnych pokoleń.

O tym i o innych działaniach i własnych refleksjach piszę na bieżąco na stronie mojej firmy [Pevich Consulting Limited](#)

Bydgoszcz, czerwiec'2009